

Grzeszna i niewinna

Z NINĄ ANDRYCZ rozmawia Stanisław Bukowski

Pani Nina Andrycz przyjęła mnie w swoim warszawskim mieszkaniu przy alei Róż ubrana w elegancką, choć skromną i prostą, popołudniową sukienkę z czarnej wełny. Jediną ozdobą był sznur prawdziwych pereł. Żadnego makijażu ani trwałej, tylko usta pociągnięte pomadką.

— Czy królewski styl bycia na scenie, a także podobno i w życiu prywatnym, wypracowała Pani świadomie?

— Ależ nie! Nigdy nie wybierałam sobie z premedytacją stylu bycia, ani na scenie, ani w życiu prywatnym. To raczej pewien styl, takie, a nie inne odczuwanie świata, może pewna poetyka, wybrały mnie. One też z biegiem czasu ukształtowały mój warsztat aktorski, potrzebne sztuce środki wyrazu. Aktorstwo zaś, zawsze miało wielki wpływ na moje życie osobiste, co wcale nie znaczy, że w życiu prywatnym byłam aktorka.

— Co Pani sama uważa za najciekawszą cechę swojego aktorstwa?

— Chyba niejednoznaczność moich bohaterów scenicznych. Łączenie w ich charakterach nawet skrajnych przeciwieństw. Na przykład moja Maria Stuart jest i dobra, i zła. Grzeszna i niewinna. Zmysłowa z kochankiem, a uduchowiona z pazim.

— Powiedziała Pani „jest” zamiast „była”...

— Tak, ma pan rację. Przecież grałam ją trzydzieści lat temu. Jednak według mnie czas wewnętrzny płynie zupełnie inaczej niż ten odmierzany przez zegary i odliczany na kartkach kalendarzy. To też często zastanawiają mnie ludzie, którzy nie chcą pamiętać swojej przeszłości... Na przykład niektórzy moi koledzy... Jakby urodzili się dopiero wczoraj, jednocześnie z „Solidarnością” i zapomnieli od razu, co i jak robili przedtem. Przecież to śmieszne! W naszym zamkniętym środowisku istnieje nie od dziś wystarczająca ilość masek, koturnów, umiłowanych aluzji i szyfrów.

— Od iluż to lat tkwi Pani, Pani Nino, w tym zamkniętym, hermetycznym środowisku?

— No nie! Nie całkiem zamkniętym, bo chodzi jeszcze o moją ukochaną publiczność, którą sobie w ciągu trzech pokoleń wychowałam. Odpracowałam w Teatrze Polskim sześćdziesiąt sezonów!!! Sześćdziesiątą przetrwać w okresie okupacji hitlerowskiej, ZASP zgodnicie z prawem uznaje jako czas przepracowany. Tym samym przyznaję się do odpowiedniej ilości lat, a pan przyglądając mi się z bliska zaświadczy moim siostronom — kobietom, że nie mam śladów operacji plastycznych...

— Dlaczego zawsze tylko Teatr Polski?

— Zbudowany według projektu znakomitego architekta Czesława Przybylskiego ożenionego z moją ciotką, Różą Andryczówną, choćby z tego powodu

stanowił mój drugi dom rodzinny. Teatr, w którym miałam szczęście pracować z najwybitniejszymi reżyserami —



Fot. Z. Nasierowska

Leonem Schillerem, Aleksandrem Węgierką, Juliuszem Osterwą, Edmundem Wiercińskim. W murach tego teatru przeżyłam swój największy sukces jako Solange w „Lecie w Nohant” Jarosława Iwaszkiewicza. Sukces, który dał mi przyjaźń plejady Skamandrytów i sympatie publiczności. Wreszcie teatr, w którym przeżyłam największą miłość swojego życia. A kiedy w teatrze działo się nieco gorzej — kontredans zmieniających się dyrektorów, presje ogórne czy tak jak obecnie brak pieniędzy — nie wypadło odchodzić. Na szczęście można było ratować się ucieczką do wspaniałe rozwijającego się teatru telewizji. Poznałam tam nowych reżyserów z Konradem Swinarskim, Adamem Hanuszkiewiczem, Jerzym Antczakiem i Ludwikiem René na czele.

— To przecież właśnie role telewizyjne — notabene ani jednej królowej! — dały Pani aż czterokrotnie nagrodę czytelników „Expressu Wieczornego”...

Zgadza się. Mogę pokazać zabawne maseczki, które przechowuję do tej pory w swojej bibliotece.

— Przypuszczam też, że to teatr telewizji dał Pani ogólnopolską popularność...

— Dzięki roli Madame Bovary, Anny Kareniny czy Damy Kameliowej znalazłam całą Polskę. Stąd setki, tysiące listów przysyłanych do mnie z dużych i małych miast, a nawet maleńkich miasteczek. Spełniałam funkcje, które, teraz wypełniają swoimi rubrykami porad sercoco wyciskane kobiecie. Pytano, a ja odpowiadałam, w co się ubrać na wesele własnej córki i co zrobić, aby zatrzymać przy sobie ukochanego.

— W jaki sposób Teatr Polski uczcił Pani jubileusz?

— Żadnych oficjalnych akademii „ku czci” nie będzie, bowiem takich uroczystości zwyczajnie nie trawię. Zagram na Scenie Kameralnej Teatru Polskiego — na Karasia jest remont — rolę zupełnie odbiegającą od dotychczasowych. W sztuce „Krzesa” Eugeniusza Ionesco, dawno nie granej, a nadal aktualnej i dającej aktorom dość duże możliwości niekonwencjonalnej interpretacji. Reżyser Maciej Prus od dawna już uważa Ionesco nie

za awangardzistę, a za klasyka dwudziestowiecznego dramatu. Podzielał ten

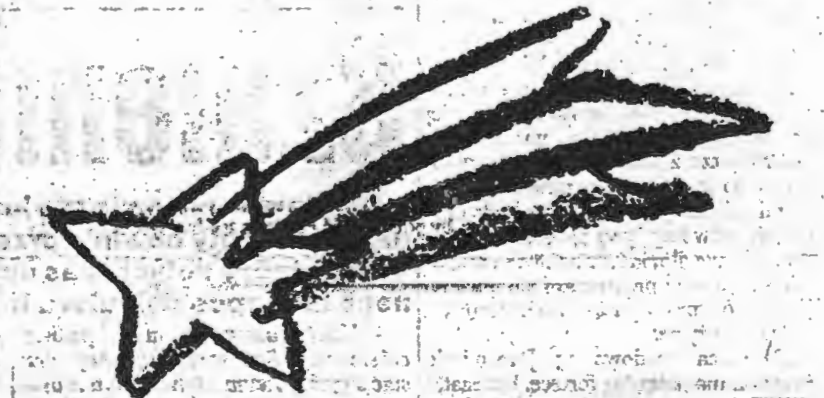
zastępcze. Będąc zupełnie nie dopasowanymi do rzeczywistości, stwarzamy sobie własny, wymyślony świat. Według mnie w ten sposób żyje część przedstawicieli naszej inteligencji. Wrażliwi, słabi, niedostosowani, odepchnięci przez brutalny, współczesny świat, siedzą na swoich krzesłach wspominając stare, dobre czasy, tocząc w wyobraźni dialogi i wymaginowane spory. Marzę o tym, żeby publiczność, jak dawniej, zrozumiała wszystkie podteksty i aluzje. Bowiem miejsce scenicznej akcji jest tylko sztafżem, elementem umownym. To nasz świat pognął jak szalony, a bohaterowie — czyli my — zostaliśmy odepchnięci i pozostawieni na ubożcu.

Bardzo skromna scenografia i moja bardzo skromna sukienka jest dziełem Zofii de Inez, z którą uwielbiam współpracować. Partneruje mi Ignacy Gogolewski.

— Co jeszcze jest ważne w Pani życiu oprócz aktorstwa? Wiem, że można nazwać Panią — kobietą renesansową...

— Wszystko, co jest wokół — literatura, poezja, psychologia. Coraz mniej polityka. Wiersze pisałam od zawsze. Najpierw do szuflady, a dopiero później z myślą, aby przeczytali je inni. A propos poezji, to w lutym jestem zaproszona na recital poetycki do Wiednia. Jeśli chodzi o muzykę, to od dziecka lubiłam Wagnera. „Lohengrina” słyszałam w kijowskiej Operze, w wykonaniu wspaniałego tenora — Leonida Sobinowa. Był to dla mnie czas dotkliwego głodu, ale też i wielkich przeżyć artystycznych. Uwielbiam Yehudi Menuhina, którego pamiętam jako pięknego, młodego mężczyznę o urodzie pełnej wewnętrznej, łagodnego światła. Spokalałam go wiele lat temu w Wenecji...

— Pani Nino, proszę przyjąć wyrazu wielkiego podziwu dla Pani sztuki. Wzyczę Pani i nam wszystkim wielu sezonów w ukochanym Teatrze. Myślę, że



sąd. Chciałabym zainteresować publiczność pewnym problemem, nieobcym nam — współczesnym. Często prowadzimy, jak bohaterowie „Kzesa”, życie

czytnie to nie tylko we własnym imieniu, ale jestem pewien, że także w imieniu szerokiej rzeszy tysięcy Pani wielbicieli.

Dziękuję za rozmowę.